

O lepsze wczoraj

- fragment

Droga z obozu do granic Nadżafu okazała się bezpieczna. Jediną przeszkodę stanowiły tumany pyłu i piasku wznoszone przez pędzące pojazdy. Przekleństwo żołnierzy. Klimat i warunki panujące w Iraku męczyły i powodowały depresję. Krótkie i zimne noce, palące dzienne słońce, wysuszona jego promieniami czerwona ziemia i wszechobecny kurz. Drobne ziarenka piasku dostające się w każdy zakamarek ubrań. Suchy pył wdzierający się pod maski pojazdów, drażniący silniki, elektronikę i wszelkie inne urządzenia. Piasek, który nierzadko chrzęścił pod zębami, przyprowadzając o gęsią skórę. Grudki błota, które tworzyły się pod wpływem drobinek kurzu, piasku oraz potu obficie wylewającego się pod obłożone ciężkimi mundurami i kamizelkami kuloodpornymi ciała żołnierzy. Gorące powietrze wysuszało skórę, śluzówki, usta i gardło. A to dopiero była wiosna.

Wreszcie konwój wjechał pomiędzy zabudowania irackiego miasta, które w świetle wschodzącego słońca mieniło się w złoto-żółtych kolorach. Światło odbijające się od asfaltu raziło w oczy. Mieszkańcy miasta najwyraźniej jeszcze spali, ponieważ na zewnątrz nie było widać żywego ducha. Skibicki spojrzął na mapę GPS. Incydent miał miejsce w pobliżu ronda wokół przybytku Kumayla ibn Ziyada. Do celu mieli jeszcze niecały kilometr.

- Kapralu, meldować! — wydał rozkaz przez zestaw radiowy.
- Wygląda spokojnie, panie poruczniku. Cisza jak makiem zasiał...
- Zachowaj czujność!...
- Taaa jest!

Skibicki, wpatrując się wciąż w ekran małego przenośnego zestawu GPS, odmierzał w myślach odległość. Dwieście metrów... Sto metrów... Konwój zjechał właśnie z głównej drogi w jednokierunkową uliczkę, która kończyła się na rondzie. Zrobiło się wąsko, co z pewnością utrudniłoby manewrowanie podczas zapalnej sytuacji. Nad uliczką górowały dwu-, czasem trzypiętrowe budynki zbudowane z jasnej cegły. „Idealne miejsce na zasadzkę” – głos pochodzący gdzieś z tyłu czaszki ostrzegał porucznika o niebezpieczeństwie. Zignorował go jednak. W tym zawodzie nie można było popadać w paranoję. Ostrożność – owszem. Przeworność – jak najbardziej. Jednak bez paniki i doszukiwania się czyhającej za każdym rogiem śmierci. Na dłuższą metę, przy tak stresującym zawodzie, nikt nie zdołałby zachować zdrowego umysłu.

— Widać coś?... — Skibicki ponownie zapytał do mikrofonu. Starał się, by w jego głosie nie było słychać zniecierpliwienia.

Kapral jadący w szakalu znajdującym się na przedzie konwoju najwyraźniej postanowił nabrać pewności, zanim cokolwiek odpowie. Brak natychmiastowego meldunku poirytował Skibickiego. Porucznik wiedział jednak, że powodem jego złości było zmęczenie i niewielka liczba przespanych godzin.

— Na rondzie, w pobliżu bramy wjazdowej do meczetu, pali się wrak samochodu osobowego, panie poruczniku. W okolicy brak widocznego zagrożenia — zameldował dopiero po chwili żołnierz.

— Dachy i okna budynków? — upewniał się Skibicki.

— Czysto. Ktokolwiek tu był, zdążył się już dawno ulotnić. Widzę ciało leżące obok wraku. Rusza się. Prawdopodobnie mamy ocalałego.

Skibicki podjął decyzję w ułamku sekundy. Iracka policja, która poinformowała o incydencie, zarzekała się, że dopiero co prowadziła tu walkę z kilkunastoma partyzantami. Tymczasem oprócz wraku nie było śladów po bitwie. Nie było ani partyzantów, ani funkcjonariuszy policji, którzy powinni zabezpieczyć miejsce i czekać na przybycie sił koalicji.

— Szakal na rondo. Zabezpieczyć rannych i pomóc im. Reszta zatrzymuje się na ulicy dojazdowej i zabezpiecza odwrót. Zwracać uwagę na budynki!... Szukajcie snajperów. W tempie panowie! W tempie!

Opancerzony wóz bojowy wpadł na pełnej prędkości na środek ronda i zatrzymał się z piskiem opon tuż obok wraku, wzniesając przy tym tumany kurzu. Jadące z tyłu honkery dojechały do końca jednokierunkowej ulicy i zawróciły, tak by były przodem w kierunku drogi prowadzącej z powrotem do bazy. Skibicki miał w dupie przepisy ruchu drogowego. Nie zamierzał pchać całego konwoju na rondo w celu odnalezienia właściwej drogi. Wolał nawrócić pojazdy w kierunku pod prąd. Po pierwsze było to nieprzewidywalne, a tym samym bezpieczniejsze zagranie, które mogło uratować życie jego ludziom, gdyby doszło do zasadzki. Po drugie... Kto odważyłby się wlepić im mandat?

Samochody zatrzymały się na chodnikach po obu stronach ulicy, by powracający szakal mógł przejechać pomiędzy nimi. Alejka była wąska, jednak zajęcie pobocza i chodników umożliwiło taki scenariusz. Wycie silników wysokoprężnych, tumany piasku unoszące się nad rozgrzewanym powoli przez słońce asfaltem. Manewry pancерnej husarii obudziłyby niedźwiedzia z zimowego snu. O dziwo, pustynne miasto wciąż zdawało się spać.

Ludzie Skibickiego momentalnie wysypali się z pojazdów, zajmując osłonięte pozycje. Ci z szakala, którzy znajdowali się na otwartym terenie, ukryli się za masywną konstrukcją pojazdu. Wieżyczka wozu bojowego omiatała okolicę w poszukiwaniu potencjalnych celów. Gdy grupa stwierdziła, że jest bezpiecznie, sanitariusz ruszył w kierunku leżących obok wraku ciał.

— Mostkowiak! Co u was?! Żyją?! — Skibicki, który również opuścił honkera, wrzasnął do mikrofonu, żądając informacji.

— Sekunda poruczniku, jeszcze nie dobiegłem!

Mostkowiak nie otrzymał żądanej sekundy. Eksplozja targnęła powietrzem, a jej podmuch odrzucił sanitariusza w tył. Tumany gruzu, piasku i kurzu wzbity się w powietrze, rozchodząc się po całym rondzie. Bomba pułapka umieszczona we wraku samochodu musiała się uruchomić wcześniej, niż to było planowane. Po chwili, w stronę wystawionych na ostrzał żołnierzy posypał się grad kul. Środek ronda stał się jednym wielkim celem, do którego strzelano z każdej strony. Kule odbijały się od pancerza szakala i asfaltu z częstotliwością nawałnicy gradowej. Pociski rykoszetowały czasem po kilka razy, zanim zupełnie wytraciły prędkość lub utknęły zatopione w ceglach okolicznych kamienic.

Skibicki nie miał nawet okazji zainteresować się otoczonymi na skrzyżowaniu podwładnymi. On i reszta jego ludzi również znaleźli się pod ostrzałem pochodzącym z budynków usytuowanych wzdłuż ulicy, której mieli pilnować. Obie grupy stojących po przeciwnych stronach ulicy żołnierzy ostrzeliwały okna i dachy zabudowań górujących nad głowami towarzyszy. W ten sposób lewa 'anka ubezpieczała tych z prawej strony i odwrotnie. Ktoś trafił w głowę wychylającego się z za skraju dachu bojownika. Na walczących u dołu żołnierzy spadły krople krwi i kawałki mózgu. Inny z postrzelonych Irakijczyków runął w dół, spadając wprost na dach honkera, za którym schował się Skibicki. Wymiana ognia trwała kilkadziesiąt długich sekund. W międzyczasie w powietrzu uniósł się huk eksplozji. Skibicki skupiony na walce i raportowaniu sytuacji ludziom z centrum dowodzenia w Camp Charlie, nie od razu zdał sobie sprawę z tego, co się stało. Po kilku sekundach nieefektywnego ostrzału napastnicy jakby odpuścili. Częstotliwość prowadzonego ognia zmalała. Porucznik momentalnie przypomniał sobie o znajdujących się wciąż w pułapce ludziach z szakala. Spojrzał w tamtą stronę. Kilkadziesiąt metrów dalej żołnierze ukryci za pancerzem wozu bojowego nadal prowadzili zaciętą walkę. Ich szczęście polegało na tym, że czarny, gęsty dym, z wysadzonego wraku samochodu, wciąż unosił się w powietrzu, zasłaniając Polaków przed wzrokiem irackich strzelców.

— Wilczak! — krzyknął Skibicki do kierowcy BRDM-a — włącz wsteczny i zabierz ich stamtąd do cholery!

— Nie mogę, poruczniku! RPG! Rozjebali nam koła i zawieszenie!

— Całun! Dymny w stronę szakala! Już! — wydał polecenie oficer. Sam również cisnął jeden z granatów, celując w przestrzeń dzielącą go od okrążonych na rondzie — możecie się poruszać?!

— Mostek jest ogłuszony i ranny, ale damy radę!

— To na trzy!

Z puszek rzuconych granatów zaczął wydobywać się gęsty biały dym, który w połączeniu z dymem z wraku i unoszącym się kurzem formował nieprzeniknioną

zasłonę. Widoczność malała z każdą sekundą, aż w końcu uwięzieni na środku skrzyżowania żołnierze zupełnie znikli oficerowi z oczu.

— Trzy! — wrzasnął Skibicki.

W zasadzie nie miał pojęcia, czy polecenie zostało wykonane. Praktycznie zerowa widoczność uniemożliwiała mu zorientowanie się w sytuacji. Ostrzał ronda wciąż trwał, a nawet przybrał na sile. Po chwili porucznik usłyszał kolejną eksplozję, wywołaną prawdopodobnie przez pocisk z wyrzutni RPG. Skibicki i reszta jego ludzi wciąż oczekiwali w napięciu na kolejną falę ataku.

— Co z wami?! — porucznik się niecierpliwił.

— Jeszcze parę metrów!

Skibicki spróbował przeszyć wzrokiem gęsty dym, jednak nadal nic nie zwiastowało szybkiego powrotu jego ludzi. Pocieszającym było to, że postawiona przez Polaków zasłona dymna musiała być równie szczelna dla oczu irackich partyzantów.

Tymczasem w jednym z okien budynku stojącego po przeciwnej stronie ulicy poruszyły się podziurawione kulami zasłony. Któryś z żołnierzy Skibickiego oddał kilka strzałów w tamtym kierunku, jednak nie można było stwierdzić, czy kogoś trafił. Nawet jeśli, to i tak nie zapobiegło to zamiarom partyzanta. Niewielkie gliniane naczynie poleciało z wysokości trzeciego piętra wprost na głowę jednego z żołnierzy stojącego pod ścianą budynku. Pękaty dzbaneczek rozbił się o kevlarowy hełm, rozlewając lepka substancję na plecy trafionego. Żołnierz momentalnie stanął w ogniu. W odruchu paniki rzucił się plecami na chodnik i tarzając się, próbował przytłumić płomień palące jego ubranie. Jeden z jego towarzyszy ruszył do honkera w poszukiwaniu gaśnicy. Po chwili ciało pechowca zostało szczelnie pokryte pianką gaśniczą. Wyglądało na to, że poparzony wyjdzie z tego cało.

W tym momencie z tumanów dymu wyłoniły się sylwetki ocalałych ludzi z szalka. Od początku ataku do tej chwili minęło może półtorej minuty, a żołnierze, którzy dołączyli do reszty oddziału, wyglądali jak po odbyciu wielogodzinnej bitwy. Twarze i mundury pokryte były brudem do tego stopnia, że z pięciu metrów nie można było rozpoznać poszczególnych osób.

— Wszyscy do wozów i odwrót! Tempo! Tempo! Tempo! — Skibicki miał nadzieję, że jeszcze nie jest za późno na ocalenie karków.

Gdy żołnierze zdołali poupychać się w samochodach, partyzanci natychmiast wyłonili się z okien i dachów budynków. Napastnicy ośmieleni odwrotem przeciwnika, który w tej chwili nie był w stanie odpowiadać ogniem, rozpoczęli chaotyczny ostrzał honkerów. Polskim terenówkom daleko było do amerykańskich hammerów. Kule przebijały blaszany dach i boki pojazdów. Ścisnięci w pojazdach żołnierze próbowali pochylić się jak najniżej, by uchronić się przed latającym w powietrzu ołowiem.

— Gaz! Gaz! Gaz! — wrzeszczał Skibicki.

Strach i poczucie, że znaleźli się w stalowej trumnie, paraliżował umysł. „STRZELAJĄ, KURWA! ZRÓB COŚ, BO ZGINIESZ!” – tylko krzyk instynktu

samozachowawczego, dochodzący gdzieś z potylicy, nadawał oficerowi impuls do działania. Honkery nabrały w końcu odpowiedniej prędkości, zostawiając w tyle wciąż strzelających partyzantów. Szczęściem prowadzony przez nich ogień okazał się mało celny. Wyglądało na to, że z żołnierzy nikt poważnie nie ucierpiał. Zakrawało to na mały cud, zważywszy na fakt, że liczba osób w każdym z pojazdów znacznie odbiegała od tych widniejących na dowodach rejestracyjnych. Przed sobą mieli ostry zakręt w prawo, za którym, po niedługiej prostej, czekała już na nich szeroka dwupasmówka.

— Nie zwalniać! — Skibicki powoli opanowywał nerwy. Umysł na powrót zmieniał się w chłodny kalkulator szans i rachunku prawdopodobieństwa.

Ich honkerem zarzuciło. Zrzucone w ten sposób z dachu pojazdu ciało partyzanta wleciało prosto na słup ze znakiem drogowym, z kolei stłoczeni w środku żołnierze skłębili się jeszcze bardziej, nierzadko uderzając hełmami w podziurawione ściany terenówki. Nikt jednak nie marudził, nie kłął i nie składał reklamacji. W tej chwili liczyło się tylko to, by jak najszybciej opuścić niebezpieczną strefę. Kierowcy zdali egzamin. Oba pojazdy przejechały zakręt, niemal nie zwalniając. „Jeszcze czterdzieści metrów!” – podświadomość Skibickiego nie dawała o sobie zapomnieć.

— Kurwa! — syknął kierujący.

— Haaamuuuj, kurwa! — zaryczał siedzący tuż za nim sierżant, chociaż noga żołnierza już z całej siły wbijała pedał hamulca w podłogę.

— Szszykurwa mać! — tym razem któryś ze stłoczonych w tyle honkera żołnierzy nie wytrzymał pod naporem ciężaru ciał kolegów, którzy na niego wpadli.

Ułamek sekundy później wszyscy pasażerowie prowadzącej odwrót terenówki ponownie zostali rzućeni, tym razem w przeciwnym kierunku. Żołnierz, kierujący drugim honkerem, nie miał szans zareagować w porę, przez co wjechał w tył prowadzącego pojazdu.

— Jak jeździsz, pizdo! — Sierżant najwyraźniej nie wytrzymał, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że żołnierz kierujący drugim wozem nie był w stanie wyhamować w porę.

Nie mieli jednak czasu na dalszą wymianę uprzejmości. Z autobusu, który zastawił całą szerokość drogi, całkowicie blokując możliwość przejazdu, wysypali się uzbrojeni ludzie. Jeden z nich trzymał na ramieniu wyrzutnię RPG.

— Z woouuuuu! — ryknął Skibicki.

Sam był w dość komfortowej sytuacji, siedząc wespół z kapralem na przedzie. Lewą ręką chwycił podoficera za ramię, prawą natomiast otworzył drzwi terenówki. Rzucił się w bok i wypadł z pojazdu, uderzając plecami o twardy asfalt. Pociągnięty kapral zwałił się na niego całym ciężarem. Mimo to porucznik nie wypuścił z prawej dłoni wciąż trzymanego pistoletu. Niewiele widząc, wyprostował rękę i zaczął strzelać. W odpowiedzi iraccy bojownicy wszczęli gęsty, jednak chaotyczny ostrzał. Kapral sturlał się wreszcie z przełożonego i natychmiast otworzył ogień

z karabinu. Oficer, leżąc na plecach, usłyszał charakterystyczny syk, po czym dostrzegł, jak pocisk z granatnika, ciągnący za sobą białą smugę, mija o centymetry dach honkera. Nieważne było, czy strzelec spanikował, czy może był niedoświadczony. Być może, w co Skibicki jednak wątpił, któraś ze ślepo wystrzeliwanych kul dosięgła partyzanta. W każdym razie żołnierze, wciąż stłoczeni w pojeździe, przeżyli. Przynajmniej na razie. Do walki dołączył również kierowca, natomiast reszta żołnierzy wydobywała się z mozołem z pokiereszowanego honkera. Tylne drzwi zostały zablokowane po zderzeniu, natomiast boczne były zbyt małe, by zapewnić szybką ewakuację pasażerów. Zwłaszcza że było ich aż siedmiu. Dlatego też niektórzy postanowili wygramolić się z blaszanej pułapki przez wybite okna. Całość przedstawiała dość rozpaczliwy obraz. Szczęściem otwarte przez Skibickiego i kierowcę przednie drzwi wyłapywały na siebie większość kul przeznaczonych dla kotłujących się wciąż Polaków.

— Wszyscy cali?! — upewniał się Skibicki.

Wbrew żądaniu nikt nie odpowiedział. Porucznik uznał to za potwierdzenie. Sytuacja została na chwilę opanowana. Wprawdzie wyjazd na główną ulicę miasta mieli zablokowany i raczej nie było szans, by się przebić, to jednak żołnierze zdołali zająć dogodne pozycje i odpowiadać na ostrzał. Skibicki wstał wreszcie z asfaltu i – nisko pochylając głowę – dobiegł do ludzi z drugiego honkera. Najwyraźniej pogoń jeszcze ich nie doszła i na razie plecy mieli czyste.

— To jak, poruczniku? Wracamy? — odezwał się któryś z podkomendnych.

Wśród huku strzałów oficer nie był w stanie rozpoznać głosu płynącego ze słuchawki. Rozejrzał się wokół, zwracając również uwagę na podległych mu żołnierzy. Pozornie sprawiali wrażenie skupionych na osłanianiu poszczególnych wycinków okolicy, jednakże Skibicki odnotował kilka nerwowych, wyczekujących spojrzeń rzuconych ukradkiem w swoim kierunku. Jeszcze raz zlustrował okolicę. Poruszając się wzdłuż alejki, którą przybyli w to miejsce, narażali się na ostrzał snajperów. Pogoń mogła lada chwila zaskoczyć ich w ciasnym zaułku, z którego nie byłoby drogi ucieczki. Porucznik podszedł do najbliższych, drewnianych drzwi jednej z kamienic. Chwyił za klamkę i szarpnął, jednak bezskutecznie. Nie było czasu na wyważanie. Wszystkie drzwi wychodzące na ulice otwierały się na zewnątrz. Z pewnością były solidnie zaryglowane od środka, więc przestrzelenie zamka nic by nie dało.

— Wilczak! Ten drugi honker jeszcze sprawny?! — Pytanie nie było bezpodstawne. Pierwsza terenówka, która wiozła oficera, została totalnie podziurawiona przez partyzantów. O ile na przebitych oponach dałoby się jeszcze jakoś pojechać, o tyle para unosząca się spod maski świadczyła o tym, że chłodnicę i pewnie nie tylko ją szlag trafił.

— Taa jeest!

— To zrób mi tu przejście! — Skibicki wskazał ręką na metalową bramę prowadzącą na niewielkie podwórko jakiejś willi.

— Robi się!

Porucznik zdawał sobie sprawę, że jeśli jego grupa przestanie być mobilna i utknie w miejscu, to dla jej członków będzie to równoznaczne z wyrokiem śmierci. Nie mógł jednak prowadzić ludzi na ślepo. Musiał połączyć się z bazą i rozeznać w okolicy. Ściganą i uciekającą w popłochu zwierzynę łatwo można zagonić w pułapkę. Dlatego też następny krok należało dobrze przeanalizować. Skibicki rzucił okiem na oba końce uliczki. Po jednej stronie jego ludzie prowadzili walkę z bojownikami, którzy odcięli ich od głównej arterii miasta. Drugi koniec wciąż kuśił i pozostawał pusty. To mogła być jednak złudna szansa. Porucznik kiwnął głową, po czym Wilczak staranował samochodem wskazaną bramę. Odgłos huku został zwielokrotniony przez echo odbijające się pomiędzy ścianami zabudowań. Tuż za sierżantem na podwórko przed białą willą wtargnęła jedna z drużyn. Teren okazał się czysty, a dwupiętrowa willa pusta. Być może właściciel zdążył opuścić miasto jeszcze przed wybuchem zamieszek.

— Brać sprzęt i amunicję z wozów, i wszyscy do środka! — wydał rozkaz Skibicki.

Zajęcie budynku nie trwało długo. Po dwóch minutach wszyscy znaleźli się w środku. Bezpieczni, jednak nie do końca w jednym kawałku. Mostkowiak ledwo słyszał i był nieźle pokiereszowany od eksplozji bomby pułapki. Wprawdzie był w stanie poruszać się o własnych siłach, ale wciąż sprawiał wrażenie mocno oszołomionego. Rafalski miał mocno poparzone ramiona i szyję. Na szczęście zaaplikowana morfina pozwalała mu brać czynny udział w działaniach grupy. Całun był ranny w udo i nie mógł samodzielnie chodzić. Został trafiony podczas ucieczki honkerem. Podobnie jak Trojanowski, któremu urwało niemal dłoń. Reszta była tylko w mniejszym lub większym stopniu poobijana.

— Obstawić wszystkie wejścia do budynku. Rannych do salonu. Na razie musimy tutaj zostać — wydał rozkaz porucznik.

Kamienica nie należała do najlepszych miejsc na kryjówkę. Była jedną z wielu ściśniętych w wąskich uliczkach centrum miasta. Od frontu widoczne były podwórko i alejka, z której uciekli. Tylne ściana budynku sąsiadowała ze ścianą kolejnego. Boczne natomiast stanowiły część wspólną pobliskich kamienic. Niczym w zabudowie szeregowej.

— Tango Jeden, tu Tango Jeden do Ojca Charlie. Odbiór... — Skibicki postanowił nawiązać ponownie łączność z bazą.

— Tu Ojciec Charlie, słyszymy cię. Co z wami? Odbiór... — W głosie operatorki z centrali wyraźnie było słychać ulgę.

— Udało nam się wyrwać z pułapki. Szakal i jeden z honkerów zniszczony. Utknęliśmy w miejscu, potrzebne wsparcie. Odbiór...

— Czy wszyscy są cali, Tango Jeden? Odbiór...

— Tak. Brak ofiar, kilku lekko rannych. Potrzebne wsparcie i transport do bazy. Odbiór...

— Brak takiej możliwości, Tango Jeden... — operatorka zrobiła chwilę pauzy — na tę chwilę musicie czekać. Odbiór...

— Ojcie Charlie, powtarzam. Nie mamy transportu. Jesteśmy w pułapce. Potrzebujemy natychmiastowego wsparcia. Odbiór...

— Musicie czekać, Tango Jeden. Nadzaf wpadło w ręce powstańców. Armia Mahdiego Muktady as-Sadra wznieciła ogólnokrajowe powstanie. Odnotowaliśmy liczne ataki. Kabul i Al-Hilli również zostały zajęte. Takich jak wy mamy więcej, Tango Jeden... — głos kobiety niemal zanikł przy wypowiedzeniu ostatniego zdania. Sytuacja musiała być poważna.

— Rozumiem, Ojcie Charlie. Czy możemy liczyć na paczkę z prowiantem i na zdjęcia od ptaszka? Odbiór...

— Tango Jeden — odezwała się po krótkiej przerwie operatorka — zbyt duże ryzyko zestrzelenia transportu z prowiantem. Przynajmniej na tę chwilę. Odbiór...

— A zdjęcia? Ojcie Charlie, potrzebujemy informacji, jak się stąd wydostać. Odbiór...

— Za kilka minut będą, jak tylko ptaszki wrócą z misji. Podajcie swoje współrzędne. Odbiór...

Bezzałogowe samoloty zwiadowcze predator musiały być widocznie rozchwytywane w tej chwili. Skibicki podał współrzędne, które odczytał z cyfrowego kompasu. Oczywiście najpierw dobrze je zaszyfrował. Nie miał zamiaru ryzykować i podawać w eter swojej lokalizacji. Z pewnością nie poprawiłoby to ich obecnej sytuacji, która i tak była fatalna. Kilkuminutowe opóźnienie w dostarczeniu zdjęć okolicy minimalizowało szansę na ucieczkę z miasta. Raz okrążeni i złapani nie byliby w stanie wyrwać się później z pułapki. Jeśli miasto faktycznie znajdowało się w rękach powstańców, to na ratunek mogli czekać nawet kilka dni. Brakowało im amunicji na tak długą obronę, nie mówiąc już o żywności i wodzie.

— Kontakt!

— Kontakt!

— Kontakt!

Meldowali po kolei ludzie Skibickiego. Rozległy się strzały. Pojedyncze. W odstępach. Widać było, że po pierwszej panice nie było ani śladu. Żołnierze odzyskali spokój i robili teraz użytek z wiedzy nabytej podczas szkolenia. Skibicki nie musiał przypominać o oszczędzaniu amunicji. Nie było takiej potrzeby. Porucznik wyrzął ostrożnie przez okno budynku. Bojownicy as-Sadra szturmowali właśnie bramę podwórka. Bach!... Jeden z nich padł trafiony prosto w pierś. Bach, bach, bach!... — trzech innych podzieliło losy tamtego. Pomimo to Skibicki zdał sobie sprawę, że on i jego pluton zostali złapani w potrzask.

— Wilczak! Jak tyły?!

— Na razie czysto!

— Wyłaźcie oknami i do następnego budynku! Szukajcie kolejnej drogi, nie możemy zatrzymać się w miejscu!

— Taa jeest!

Oficer ponownie wyjrzał przez okno na podwórze. Agresorzy wstrzymali na chwilę szturm, widząc, że ponoszą znaczne straty. Otoczenie budynku i przystąpienie do ponownego ataku było jednak tylko kwestią czasu. Tym razem uderzyli ze wszystkich stron naraz.

— Wilczak! Melduj!

— Budynek czysty! Osłaniamy!

Porucznik sięgnął po granat i sprawnie zaminował drzwi wejściowe willi.

— Borek! — Skibicki wywołał kaprała, który zajął pozycję na piętrze budynku — Odwrót! Ubezpieczam front!

— Taa jest!

— Tempo! Tempo! Zaraz okrążą budynek!

Faktycznie, z drugiej strony kamienicy dobiegły ich strzały. To ludzie z drużyny Wilczaka osłaniali wąską, szeroką na trochę ponad metr uliczkę na tyłach. Po chwili sam Skibicki ruszył do okna na tyłach budynku. Jednym susem wyskoczył na zewnątrz po to tylko, by zostać złapanym za rękę przez swoich ludzi, którzy znajdowali się w oknie drugiej willi. Silne ramiona wciągnęły go bez problemu. Po chwili dwóch żołnierzy osłaniających ciasną uliczkę dołączyło do reszty. Eksplozja spreparowanej przez Skibickiego pułapki świadczyła o tym, że ścigający ich Irakijczycy wtargnęli do wcześniejszej kryjówki. Przed oficerem stanął zdyszany sierżant Wilczak.

— Tu wszędzie jest to samo poruczniku! Sprawdziłem mapę, cały kwadrat jest w takich kamienicach, możemy tak skakać z domu do domu, jednak w końcu nas okrążą — zameldował podoficer. Skibicki chwycił podwładnego za ramię i wyprowadził do innego pomieszczenia, gdzie zostali sami. Wolał, by podwładni nie słuchali mało optymistycznych wiadomości.

— Te budynki nie nadają się do obrony. Są zbyt małe, kilka strzałów z RPG i albo nas pozabijają, albo przysypią gruzami — wyjaśnił oficer.

Nastąpiła chwila ciszy. Sierżant wbił wzrok w porucznika. Jako dowódca Skibicki musiał wydać jakiś rozkaz. Najlepiej błyskotliwy, sensowny, mało ryzykowny, a jednocześnie dający szansę ucieczki z tej matni.

— Potrzebny nam na tyle duży obiekt, by był zbyt trudny do zniszczenia, jednak na tyle mały, byśmy zdołali go obronić. To musi być budynek samotny, oddalony przynajmniej na kilka, kilkanaście metrów od innych. Ponadto, jeśli mamy tutaj przetrwać, potrzebujemy zrztu amunicji. — Jako że żaden genialny pomysł nie wpadł mu do głowy, Skibicki postanowił najpierw sprecyzować jakiś cel.

Wilczak kiwnął głową na znak zrozumienia i sięgnął po mapę. Skibicki zrobił dokładnie to samo, sam jednak miał do dyspozycji cyfrowy wyświetlacz z wbudowanym GPS-em.

Bach!... Bach!... Bach!...

Porucznik obrócił się w stronę, skąd pochodziły strzały. To jego ludzie otworzyli ogień do partyzantów z sąsiedniego budynku. Usadowione naprzeciwko siebie okna obu domów pozwalały na głęboką penetrację pomieszczeń, do których bojownicy as-Sadra chcieli wtargnąć, a które nie tak dawno opuścili Polacy.

— Patrz! A ten pawilon? — Skibicki wskazał na ekran małego monitora. Wilczak sprawdził jeszcze obiekt na swojej tradycyjnej mapie. Tak dla pewności.

— Poruczniku... To jest po drugiej stronie głównej ulicy, do której mamy jakieś dwieście metrów w linii prostej. Ponad sto metrów przedzierania się przez dwa rzędy zabudowań, a później sprint przez cztery pasy odkrytej jezdni, nie wliczając w to pasa zielonego i chodników. Jeśli jeszcze nie okrążyli tego sektora, a pewnie to zrobili, to i tak wystrzelają nas jak kaczki.

— Panie poruczniku, przyszły zdjęcia z predatora — to kapral Borkowski meldował przez zestaw słuchawkowy.

— Dawaj mi je tutaj! W tempie!

Kapral, zwany Borkiem, musiał być w przyległym pokoju, bo wpadł do pomieszczenia, gdzie stali dowódca i sierżant niemal natychmiast po wezwaniu. W rękach trzymał otwartego już laptopa. Nie miał gdzie go postawić, więc trzymał komputer w rękach z matrycą zwróconą w kierunku zwierzchników stojących naprzeciw.

— No to nas mają... — westchnął Wilczak na widok licznych kropek i prostokątów, które pojawiły się na głównych ulicach wokół kwadratu, gdzie się znajdowali. — Potrzebowalibyśmy skrzydeł...

Skibicki zamarł na chwilę. Jego umysł pracował ze zdwojoną prędkością. Adrenalina stanowiła naturalne paliwo dla jego szarych komórek. W tej chwili czuł się, jakby poczęstował swój mózg podtlenkiem azotu. Dopadł drzwi wejściowych domu, w którym się znajdowali, i wybiegł na zewnątrz. Był teraz na kolejnej jednokierunkowej uliczce równoległej do tej, którą próbowali uciec honkerami. Rozejrzał się po okolicy. Spokój. Widocznie partyzanci jeszcze tu nie dotarli, jednak lada moment mogli się pojawić, chcąc zacieśnić pas okrążenia wokół grupy Polaków.

— Wszyscy biegiem na zewnątrz! Tempo! Tempo! Tempo! Ktoś ma jeszcze dymny?!

— Taa jest! — Skibicki usłyszał w słuchawce.

— To na ulicę koło mnie, już!

Granat poszybował z piętra kamienicy na asfalt i trafił pod nogi oficera. Zanim sylwetkę porucznika całkowicie spowił jasny dym, podbiegł do niego sierżant Wilczak.

— Poruczniku! Lada chwila tu będą!

— Pomóż! — Skibicki wskazał ręką na ziemię. A raczej na studzienkę, nad którą stał.

Skibicki – wyposażony w cyfrową mapę z systemem GPS – prowadził ludzi ciemnym i ciasnym tunelem kanalizacji. Pochód zamykał sierżant. Mieli do pokonania około dwieście metrów w linii prostej. Sieć kanalizacyjna na szczęście nie była zbyt skomplikowana. Jak na złość cuchnęło okropnie, a coraz większy upał sprawiał, że wilgoć w kanałach się nasilała. W takich warunkach oblizanie językiem warg groziło wymiotami.

Nie to było jednak najgorsze. Porucznik obawiał się, by partyzanci zbyt szybko nie odkryli ich drogi ucieczki. Dla Polaków przeciskających się pod ziemią mogło to oznaczać pewną śmierć. Wystarczyło, by bojownicy as-Sadra powrzucaли do studzienek granaty bądź wlałi benzynę z pobliskiej stacji benzynowej, a następnie podpalili. Nawet gdyby żołnierzom Skibickiego udało się jakoś uciec, to mogliby stracić głowy zauważeni przy próbie wyjścia z kanałów.

Po kilku minutach wędrówki, odbywanej w pełnej ciszy, oficer doprowadził grupę na miejsce. Zgodnie z danymi podawanymi przez GPS znajdowali się tuż obok muru pawilonu, do którego mieli dotrzeć. Skibicki ostrożnie wszedł po stalowej drabince na górę, po czym lekko uchylił wieko studzienki. Okolica wydawała się czysta. Nie było czasu na niepewność. Teraz albo nigdy. Jednym ruchem odsunął stalową pokrywę na bok i ostrożnie wyszedł z podziemia. Partyzanci pilnujący ulicy, przy której znajdował się pawilon, nic nie dostrzegli z powodu wysokiego na dwa metry betonowego muru okalającego budynek z każdej strony. Dzięki temu po około dwóch minutach cała grupa żołnierzy bezpiecznie zajęła pozycje na powierzchni. Słońce zdążyło już zawisnąć wysoko nad ich głowami. Jego promienie szybko nagrzewały hełmy Polaków. Zapowiadał się niezły upał. Przestroga przed prawdziwym pustynnym latem.

Przylegając plecami do ścian pawilonu, który miał się dla nich stać schronieniem na najbliższe godziny, a być może i dni, żołnierze skierowali się do tylnego wejścia, które znajdowało się od strony małego parkingu. W tej chwili plac parkingowy był pusty, co Skibicki odczytał jako dobrą kartę.

— Borek, drzwi! — rozkazał Wilczak.

Kapral dopadł wejścia. Zamek był zamknięty, jednak nie wyglądał na trudny do sforsowania. Faktycznie, po chwili drzwi stały otworem. Borek jako jedyny miał doświadczenie w tego rodzaju profesji i już nieraz dzięki niemu dowodzona przez Skibickiego grupa uzyskała efekt zaskoczenia. Wyważanie wejścia i szturm pomieszczeń z okrzykiem „US Marines!” w amerykańskim stylu rzadko kiedy okazywało się praktyczne.

W nagrodę za świetną robotę sierżant wysłał Borka wraz z jednym z szeregowych przodem. Sam Wilczak wszedł do budynku w asyście kolejnego żołnierza zaraz po pierwszej parze. Pochód zamykał Skibicki i dwóch pozostałych szeregowych. Szczęściem budynek okazał się opuszczony. Taki dzień jak ten nie sprzyjał

prowadzeniu interesów, toteż właściciel firmy na czas rebelii z pewnością wołał zamknąć jej siedzibę na cztery spusty.

Parter składał się z dość obszernej recepcji z poczekalnią dla klientów, sali konferencyjnej, pomieszczeń gospodarczych i garażu. Na oba piętra składały się natomiast liczne pokoje biurowe. Pawilon był ponadto podpiwniczony. Pomieszczenia znajdujące się pod garażem i pomieszczeniami gospodarczymi zawierały masę złomu i niepotrzebnych nikomu zapomnianych rzeczy. Wśród tego śmiecia Wilczakowi udało się jednak zlokalizować jedno, bardzo stare, jednak wyglądające na sprawne, urządzenie. Agregat. Być może przed wojną przerwy w dostawach prądu były w mieście czymś naturalnym. W Iraku, bogatym w złoża ropy naftowej, agregaty prądotwórcze musiały być częstym wyposażeniem nie tylko większych, firmowych budynków, ale również co bogatszych domostw.

— Wejścia zabezpieczone, ludzie na pozycjach, ranni opatrzeni. Będą żyć, panie poruczniku — zameldował Wilczak, gdy rekonesans budynku został zakończony.

Obaj kucali przyczajeni przy jednym z okien umieszczonych na drugiej kondygnacji pawilonu. Mieli doskonały widok na główną ulicę i siły partyzantów, które starały się zacieśnić obszar poszukiwań. Pokój, w którym znajdowali się oficer i podoficer, był dość mały i wyglądał na gabinet kierownika.

— Co z agregatem, działa? — spytał porucznik.

— Ciężko stwierdzić. Paliwa trochę jest. Jakaś jedna trzecia zbiornika. Jednak czy to odpali? Nie gwarantuję. W tych egipskich ciemnościach nie widać też podłączeń pod system elektryczny budynku. Niby jakieś kable wchodzą w ścianę... Ale po co, w jakim celu? Cholera wie. Można odpalić i sprawdzić...

— Nie. Nie teraz. Jeszcze by to usłyszeli tamci. — Skibicki wskazał na powstańców stojących na ulicy przed bramą wjazdową budynku i dodał: — Spróbujemy, gdy nie będzie innego wyjścia. Coś jeszcze?

— W kuchni na piętrze jest tyle żywności, co w małej komunistycznej lodówce. Czyli prawie nic. Mamy natomiast niezły zapas kawy i stary ekspres w sekretariacie. Do tego cola, sprite i mineralka z automatu.

— Kofeina z pewnością nam się przyda. Być może żywność rzucą nam w paczkach... — Sierżant wbił wzrok w dowódcę. Widać było, że słowa Skibickiego wywołały efekt przeciwny do zamierzonego. Zamiast uspokoić, wprowadzały zwątpienie. Porucznik zbeształ się za to w myślach. Powinien panować nad sobą w kontaktach z podwładnymi. Zwłaszcza w takich ciężkich sytuacjach.

— Porucznik w to wierzy? Ryzyko zestrzelenia śmigłowca jest równie wysokie jak godzinę temu i podejrzewam, że nie zmaleje przez najbliższy czas. — Wilczak nie panikował. Po prostu rzeczowo przedstawiał argumenty.

— Śmigłowca owszem. Jednak kto powiedział, że predatory mają robić tylko zdjęcia z dużych wysokości tudzież odpalać rakiety naprowadzające? Zamiast uzbrojenia można podpiąć trochę prowiantu. W tej chwili kontrolujemy na tyle

spory obszar, by ci magicy z bazy potrafili wstrzelić się z wałówką w nasz kwadrat — wyjaśnił zadowolony z siebie Skibicki. Taki scenariusz był przecież naprawdę możliwy.

Wilczak wpatrywał się jeszcze w porucznika, jakby szukając na jego twarzy choćby drobnej rysy zwątpienia. Nie znalazł jej jednak i najwyraźniej zadowolony z tego kiwnął głową na znak aprobaty.

— To co teraz robimy? — spytał.

— Przyniesź radio, damy znać naszym, że wciąż żyjemy, mamy się dobrze i czekamy na pomoc.

— A paczki?

— A co, już jesteś głodny? — spytał z ironią w głosie Skibicki.

— No nie, ale amunicja... — bąknął nieco speszony sierżant.

— W tej chwili nie prowadzimy walki, a powstańcy przeczesują sektor obok, by nas znaleźć. Uciekliśmy z nagonki. Poczekajmy, aż sami nas znajdą. Po co zdradzać naszą pozycję?

— Racja. Jeszcze tylko jedno pytanie, poruczniku...

— Tak?

— Jesteśmy blisko tej całej zadymy, a kanałami przemieszczaliśmy się dość gładko. Nie lepiej spróbować uciec z miasta niż tu czekać, aż nas zlokalizują?

— Znasz sieć kanalizacyjną Nadżafu? — Wilczak kiwnął przecząco głową — no właśnie, sierżancie, ja też nie. Poza tym z pewnością nie prowadzi ona poza miasto. Jestem prawie pewny, że nie doprowadzi nas nawet do jego obrzeży. Nie chciałbym wyjść na pierwszej linii frontu lub w samym centrum głównych sił partyzantów. Wcześniej czy później miasto zostanie odbite. Musimy się do tego czasu tutaj utrzymać.

Tak jak się spodziewał po złożeniu krótkiego meldunku i przekazaniu informacji dotyczącej pozycji oddziału, nie otrzymał żadnych obietnic pomocy. Rozmiary powstania okazały się znacznie większe od początkowych i tak mało optymistycznych założeń. Skibicki i jego ludzie musieli czekać, aż Amerykanie dotrą z odsieczą do regionu pilnowanego przez międzynarodową dywizję. Dopiero po godzinie od kontaktu z bazą Charlie otrzymali zdjęcia zrobione z predatora. Zła wiadomość była taka, że powstańcy kończyli przeszukiwanie sektora, z którego Polacy zdołali uciec. Umiarkowanie dobrą informacją było to, że większość sił bojownicy as-Sadra skierowali na obrzeża miasta.

Nim ktokolwiek z irackich powstańców zainteresował się pawilonem, w którym ukryli się Polacy, minęły jeszcze dwie długie godziny. Wreszcie jednak stało się to, co było nieuchronne. Skibicki wyrwany przez Wilczaka z półdrzemki wychylił się lekko za okno, tak by dojrzeć bramę wjazdową na teren posesji. Dwóch, młodo wyglądających, partyzantów ruszyło w kierunku pawilonu. Najwidoczniej powstań-

cy poszerzyli obszar poszukiwań, co przełożyło się na zmniejszenie liczebności poszczególnych patroli.

— Poruczniku, co robimy? — spytał szeptem Wilczak.

— Wszyscy kryć się. Nie strzelać, dopóki nie będzie to konieczne. Może odpuścić. Nie dajcie się zauważyć. W razie czego spróbujcie załatwić to po cichu — rozkaz został wydany bezpośrednio do mikrofonu.

— Słyszeliście porucznika? Wszyscy sza. Na trzy, działacie na bezdechu. Trzy... — Wilczak powtórzył rozkaz za oficerem.

Skibicki w dalszym ciągu obserwował z góry nieświadomych niczego partyzantów. Irakijczycy podeszli leniwie do głównego wejścia. Jeden szarpnął za klamkę. Bez skutku. Drugi rozglądał się po okolicy, jednak niezbyt uważnie. Po chwili pociągnął tego pierwszego za ramię, mówiąc coś przy tym. Nie należeli do nadgorliwych, bo zaraz ruszyli z powrotem w kierunku bramy. Skibicki im się nie dziwił. Najwyraźniej zdawali sobie sprawę z tego, że pierwszy patrol, który natknie się na poszukiwanych, niemal na pewno czeka śmierć. Młodzi powstańcy najwidoczniej nie chcieli wygrać tego wyścigu. Porucznik odwrócił się na chwilę w stronę Wilczaka. Ten wypuścił z ust powietrze z wyraźną ulgą. Skibickiemu przez chwilę przemknęła myśl, czy aby sierżant nie potraktował swojego rozkazu nazbyt gorliwie i faktycznie wstrzymywał oddech przez cały ten czas.

— Poruczniku... — Wilczak na powrót wziął głęboki wdech i kiwnął głową w stronę okna.

— Jasna cholera — skomentował Skibicki.

Młodzi partyzanci, którzy zdołali już opuścić okrążoną murem posesję, zostali zatrzymani przez najprawdopodobniej wyższego rangą bojownika. W tej chwili obaj stali z pochylonymi głowami, słuchając łajania tamtego. Brodaty Irakijczyk wskazał ręką w stronę pawilonu. Było widać, że nie był kontent z pracy podwładnych. Warknął na koniec, po czym oddalił się, prawdopodobnie wracając do ważniejszych obowiązków, niż pilnowanie leniwych młokosów.

— Niech szlag trafi wszystkich nadgorliwców — syknął Wilczak.

— Amen... — zabrzmiał w słuchawkach głos jednego z szeregowych.

— Jak tylko wejda... — Wilczak kiwnął tylko głową w geście zrozumienia — Sierżancie... Tylko cicho — dokończył Skibicki.

Podoficer opuścił pokój, w którym znajdował się jego dowódca, i bezgłośnie zbiegł dwa piętra niżej, gdzie znajdowała się recepcja. W tym czasie dwójka partyzantów zdążyła wrócić do drzwi wejściowych pawilonu. Po krótkiej naradzie jeden z nich wybił szybę kolbą karabinu i otworzył zamek. Młodzi Irakijczycy weszli do budynku, po czym nastąpiła cisza. Skibickiemu wydawało się, że usłyszał stłumione westchnięcie. Być może zwiodła go jednak wyobraźnia. Nie był tego pewien. Wreszcie usłyszał w słuchawkach głos Wilczaka:

— Zabierzcie ciała do garażu... Poruczniku, załatwione. Jak ulica?

Skibicki wyrzwał jeszcze raz przez okno. Brodacza nie było już nigdzie widać. Wyglądało na to, że nikt nie przejął się brakiem dwójki podrzędnych bojowników. To dawało nadzieję na krótką chwilę spokoju. Słońce było w zenicie. Fala ciepła zalewała całe miasto. Brak klimatyzacji w budynku dawał o sobie znać. Oficer miał wrażenie, jakby pojawiły mu się pod pachami dwa jeziora i całkiem wartki strumień pomiędzy pośladkami, który miał swoje źródło znacznie wyżej. Niemal w okolicach karku. Do tego ten cholerny, wszechobecny piasek. „Szlag by to” – pomyślał.